

Niechaj umrą trupy w szafie — Kaero

- I wiesz, ja wtedy tak strasznie się zdenerwowałam, bo wiesz, bo ta Jolka to jednak głupia jest... - *I tak ciągle. Głędzi i głędzi* – A ten jej facet, żebyś ty go widział... - *W dodatku wymachuje tym widelcem, na który nabiła kawałek schabowego.*

- Tak, tak, głupia – odpowiadam machinalnie, choć nie wiem, czy wciąż jestem w temacie. Mniej więcej co trzecie zdanie staram się coś wtrącić, nawiązując do jednego z uchwyconych w przelocie słów, żeby nie zorientowała się, iż nie słucham i w dupie mam nie tylko Jolkę – której nigdy nie widziałem na oczy - ale w ogóle to całe gadanie. *Dlaczego, do licha jasnego, choć raz nie mogę zjeść obiadu w spokoju, tylko słuchać gdakania? Albo przy muzyce chociaż, skoro już w ciszy nie można. Śniadanie. Gdkanie. Obiad. Gdkanie. Kolaćja. To samo. No, kurwa!* Nie wypowiadam jednak na głos swych narzekań, bo głupi nie jestem. Miałbym piekło. Wolę już siedzieć i przytakiwać.

Nagle przy stole zapada cisza. Widocznie padło pytanie, którego nie usłyszałem. Ocknąłem się ze swoich rozmyślań i spróbowałem przyjąć na twarz wyraz uprzejmego zainteresowania.

- Czy ty mnie w ogóle słuchasz? – W jej głosie słychać wyrzut. Spoglądam na, wciąż ładną, twarz mojej żony, w tej chwili nabrzmiałą pretensją i wyczekiwaniem na to, co powiem.

- Oczywiście, że słucham – zapewniłem.

- Akurat. Nawet nie potrafiłbyś powtórzyć tego, co przed chwilą powiedziałam – odpowiedziała z goryczą i wróciła do krojenia kotleta.

Nie zaprzeczyłem. Miała rację.

Ucichła, ale tylko na chwilę. Z Głupiej Jolki przerzuciła się na mnie. *Że jej nie rozumiem, że nie słucham, że nie interesuję się nią, że żaden ze mnie mąż, że to, że tamto, sramto...* Trudno wyliczyć te wszystkie "że" wykrzyczane w kotlet. Po chwili znów przestałem słuchać, powyższe zarzuty nie są więc chyba pozbawione podstaw.

- Co się z tobą, do cholery, dzieje? – Słyszę w końcu pytanie kończące litanie pretensji. Zabawne, bo nie po raz pierwszy je dzisiaj słyszę. Zadał je wcześniej mój szef, grożąc wywaleniem na zbity pysk.

- Żebym to ja wiedział... - odpowiadam sam sobie. Bezgłośnie, zapadając się do środka...

Nie jestem pewien stanu swojego indywidualnego. Krążące po mojej głowie myśli jak rój much odbijają się od wewnętrznej ściany czaszki, nie mogąc znaleźć ujścia. Czasem tylko coś wyleci pod postacią słów niewysłowionych, splątanych, pogmatwanych, bez ładunku-składu, wyplutych na zewnątrz przez język zeszywniały od niemówienia.

Niemówienie to czynność główna mojego języka. Mowa artykułowana wychodzi przypadkiem, pośród mlaskań, cmokania i niekontrolowanego zwijania w trąbkę. Brak mu bezpośredniego i dostatecznego połączenia z mózgiem. A może to mózg nie potrafi zapanować nad językiem, tego nie wiem (w ogóle jest tyle spraw, o których nie mam pojęcia, przeraża mnie, że nigdy nie posiadam wystarczającej wiedzy o sobie

samym).

W głębi trzymam szafę. Szafę pancerną na tysiąc zamków i szyfr tajny, żeby to, co tam schowam nie dostało się w niepowołane ręce – zwłaszcza moje. A trzymam w niej trupy myśli własnych i fantazji: erotycznych, prozaicznych, diabolicznych, sadystycznych, masochistycznych, surrealistycznych oraz innych -cznych, potencjalnie szkodliwych dla mnie i otoczenia. Systematycznie, co czas pewien, urządzam obławy, zaganiając te twory dzikie, barbarzyńskie w czeluście szafy, które - rzecz to jasna - wcale nie są nieskończone i zaczynają wypełniać się w zastraszającym tempie. Boję się, co będzie, gdy zamki puszcza i wszystko się rozejdzie. Bo mówiąc trupy myśli własnych i fantazji nie mam na myśli trupów zabitych na śmierć, trupów bez krwi a z kością, sztywnych do wyschniętego szpiku, zamilkłych na wieki wieków (Amen). Nie, nie, nie. Chodzi mi o trupy potraktowane samobójczą śmiercią pozorną, o znaczeniu strategicznym dla przetrwania. Tam, w nich, tli się (niewy)życie, którego słaby puls odmierza także mój czas. Nie jestem bezgraniczny, nie mogę się rozszerzać bez końca – pewnego dnia skurczę się do rozmiarów łebka od szpilki, a wtedy będzie już za późno. Pożrą mnie potwory wyhodowane przez moją osobę własną.

Boję się trupów w szafie. W chwilach takiego nieopanowanego lęku drzę w posadach i naczynie o moim kształcie rozpryskuje się na tysiąc kawalków, a każdy z nich na kolejny tysiąc. Obserwuję moment samouniżenia i dochodzę do wniosku, że nie dam rady pozbierać się z tego miliona katastrof. Wtedy ktoś mówi: wstań i idź. Dźwigam więc galaretowatą postać i stawiam kroki, choć zapadam się w sobie, choć odbijam się od ścian czterech, podłogi i sufitu. Nie dziwię się już, że nikt nie zauważa mojej półprzezroczystości i delikatnej struktury giętko-glutowatej.

Pozostaję bez podpory przez czas długi – o wiele za długi dla mnie. Nie wiem, ile wytrzymam i czy wytrzymywanie ma jakikolwiek sens. Dla takich jednostek nie ma miejsca na tej ziemi, powierzchni zachłannej i okrutnej, traktującej słabość za hańbę, nieznoszącej działań sprzecznych z jej wolą. Będąc hańbą dla matki-Ziemi, śmiercią umrę haniebną.

- Człowieku, ogarnij się! – krzyczy żona, krzyczy szef. Krzyk nie przenika mojej materii, a jedynie odbija się od niej i rozprasza, jakby go nigdy nie było. *Nie rozumiecie, nie zrozumiecie nigdy, że żadne słowa, choćby wykrzywane najgłośniejszym, choćby z gardła wydarte, nie są w stanie niczego zmienić. Mnie zmienić. Nie rozumiecie, że jest za późno dla mnie, że ja sam, choć boję się przeogromnie i jak zwierzę napinam każdy pozostały przy życiu mięsień, z niecierpliwością oczekuję tego, co ma nadejść.* – Co ty sobie w ogóle wyobrażasz?! – *nie chcielibyście wiedzieć, odpowiadam w środku, i ja też nie chciałbym.*

Żona wychodzi. Szef wychodzi. Wściekli. Nierozumiejący. A ja nie zostaję sam, o nie, mimo, że bardzo bym chciał być sam jeden. *A może... Jest jedno wyjście?*

Wstaję, lecz nie wiem, co mną kieruje. Z szuflady wyciągam służbowy pistolet. Ładuję i odbezpieczam. Będąc w kapciach i wciąż jeszcze przeżuwać zylastego kotleta, kieruję się do wyjścia. Wychodzę na ulicę, po czym mierzę krótko, ale pewnie. Pierwszy trup. Drugi i trzeci. Nie patrzę nawet, do kogo strzelam – mężczyzny, kobiety, czy dziecka – nieważne. Prę naprzód, na prawo i lewo rozdając śmierć. Wokół mnie panuje popłoch. Ludzie krzyczą rozpaczliwie, biegną w panice i szukają ratunku. Tylko nie ja jeden. Tylko ja, właśnie teraz, niczego się nie boję. *Jestem wolny.* Strzał za strzałem coraz bardziej. Po raz pierwszy cisza w mojej głowie.

Dopiero, kiedy dociera do mnie ryk policyjnych syren i pierwsza kula przeszywa pierś, uświadamiam sobie, że gdyby nawet żywej duszy przy mnie nie było i wszędzie wokół białą szczątki wszystkich ludzi, a ja jeden bym przeżył, to i tak nie miałbym szans, żeby być sam. Wolny.

Trupy w mojej szafie umrą razem ze mną.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

Kaero, dodano 03.12.2012 08:29

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.